Nr. 49. Poznań, niedziela 6-go grudnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę. **Redakcya:** Poznań, św. Marcin 22 II p. **Administracya:** Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego. **Pojedyńczy numer:** w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen. **Rękopisów drobnych niezwracamy.**

TREŚĆ.

Kwestya interpelacyi.

W programowych artykułach prasy ugodowej powtarza się często twierdzenie, że era „szumnych interpelacyi" i „taniej opozycyi" w polityce Koła polskiego powinna zginąć bezpowrotnie, a w miejsce to wstąpić intenzywne współpracownictwo posłów naszych w mozolnych zabiegach państwa około rozwiązania spornych zagadnień ekonomicznych i polityczno-społecznych. Niejednokrotnie wykazywaliśmy już, że akcya w jednym kierunku nie wyklucza bynajmniej pracy w kierunku drugim, i niejednokrotnie dawaliśmy do zrozumienia, że stworzono tu tendencyjnie kontrast pozorny, aby utorować drogę tej polityce ugodowego byperlojalizmu, która każdy energiczniejszy protest narodowy przyjmuje, jeżeli nie z wyraźną niechęcią, to przynajmniej z oznakami niepokoju.

Czy zaniechanie najświeższej i najwięcej palącej interpelacyi w sprawie barw prowincyonalnych i awantury opalenickiej opiera się na tym systemie politycznym, który wszelkiej opozycyi lęka się jako czczej Donkiszoteryi, czy też dodatkowe motywy dyplomatycznej natury odegrały tu rolę, tego dziś jeszcze z bezwzględną stanowczością rozstrzygnąć nie możemy. O ile jednak wnioskować wolno z pewnych półsłówek i komentarzy, krążących w tych kołach, które posiadają blizkie stosunki z posłami, to owe dyplomatyczne względy, wysuwane w mgle tajemniczości przez „Dziennik Poznański", trącą silnie interesem koteryi ugodowej. Mówią nam, że lękano się Bismarckowskiego stylu, w którym rząd mógł powitać interpelacye Koła, — mówią nam, że tego stylu obawiają się ci przedewszystkiem, którzy przez długie lata opowiadali cudowne baśnie o sympatyach tronu dla uciśnionej polskości i dawali niedwuznacznie do zrozumienia, że sympatye te są zasługą dyplomacyi ugody. Wiemy bardzo dobrze, jak rząd niemiłosiernie rozwiewał jedną iluzyę po drugiej, — wiemy, jak na krytykę wygłoszoną przez Koło polskie o bractwie trzech liter odpowiedział błogosławieństwem dla krzyżackiej roty Hakatystów, — i wiemy wreszcie, jak ta rzeczywistość gasiła ułudne blaski „nowych horyzontów". Powtórne „Quos ego" rządowe nie poprawiłoby oczywiście nadszarpanej opinii stronnictwa ugody i dla tego pogrzebano zamiar ryzykownej interpelacyi.

Rozumiemy zupełnie całą doniosłość takiej porażki dla interesów partyjnych, dla interesów tej potężnej kliki, która kazała nam wierzyć, że skoro tylko krzesła poselskie ku skrajnej przesunie prawicy, to tron pruski w dobrotliwą wróżkę się zamieni, — ale trudno nam zrozumieć, o ile nowa „nauczka" w Bismarckowskim stylu może pogorszyć sytuacyę narodową. Nie łudziliśmy się nigdy, aby w ogniu interpelacyi polskich rząd obecny jak wosk się roztopił i giąć się pozwolił według naszych życzeń, nie łudziliśmy się, aby interpelacye polskie wobec panujących stosunków mogły mieć inne jak moralne znaczenie, — z drugiej strony jednak stwierdzamy tu wyraźnie, że tego moralnego znaczenia lekceważyć nie wolno i że ono siły swej nie traci, choćby mininistrom pruskim Friedrichsruh i Warcin dyktowały tenor odpowiedzi. Rzucono gdzieś przypuszczenie, że ostra odpowiedź rządu mogłaby rozzuchwalić zgraję hakatystów upokorzoną nieco klęską opalenicką, ale argument ten wydaje nam się już z tego względu podejrzanym, że rząd bez prowokacyi naszej przylepił im plaster na rany w znanym ukazie o barwach prowincyonalnych. Point de rêveries, messieurs! Zaniechanie interpelacyi nie poprawi w niczem położenia naszego, bo rząd zawsze znajdzie sposobność, aby przed Hakatystami broń zaprezentować z okrzykiem „sempre avanti". Jeżeli zresztą strach przed wrogą odpowiedzią ministrów rozstrzyga o wystąpieniach Koła polskiego w sejmie lub parlamencie, to należałoby dla konsekwencyi w ogóle zaniechać wszelkiej skargi i wszelkiej krytyki dążeń germanizacyjnych, bo każdy opozycyjny akcent może spowodować grom Bismarckowski. Czy Koło w formę interpelacyi ubierze żale nasze, czy, jak zamierza podobno, w dyskusyi nad etatem skargi polskie wytoczy, to sytuacyi w niczem nie zmienia, bo okazya do twardej odpowiedzi zawsze się nastręczy rządowi. A jeżeli Koło istotnie zamilknie zupełnie, to rząd z własnej inicyatywy w tej czy owej formie po Bismarckowsku przemówi. Zdaje się, że takie zapatrywanie na sprawę podzielała niemal połowa naszych przedstawicieli sejmowych, bo jak „Dziennikowi Poznańskiemu" z Berlina donoszą, zaledwie jeden głos większości rozstrzygnął o zaniechaniu interpelacyi.

Skutki tej, zdaniem naszem, fałszywej ostrożności Koła polskiego już dzisiaj dają się we znaki, bo pisma Hakatystyczne kolportują wiadomość, że posłowie nasi ulękli się jakichś tam kompromitujących materyałów, zgromadzonych przez rząd i przygotowanych do strzału w razie interpelacyi polskiej. Dla ludzi znających stosunki doniesienie to piętnem kłamstwa świeci, ale dla tych, którzy zdaleka spoglądają na nas, ma ono pewien zapach prawdopodobieństwa, jest wygodnym, nimbem sensacyi opromienionym kluczem zagadki: Dla czego Koło polskie wbrew pierwotnym zamiarom nie interpeluje rządu pruskiego? I choćby prasa polska tysiąc razy zaprzeczyła fabrykantom fałszów, plotka pójdzie dalej, jątrząc umysły i roznosząc po Niemczech szerokich widmo „rewolucyi polskiej."

Powyższe oświetlenie sprawy polecamy uwadze „Koła polskiego", bo lubo na razie kwestyę interpelacyi za rozstrzygniętą uważać wypada, to każdej chwili można ją powtórnie wprowadzić na porządek dzienny i spowodować uchwałę odmiennej natury. Mamy konstytucyę, — korzystajmy więc z praw nam przysługujących, bo nieustanny strach przed drażnieniem rządu prowadzi na takie bezdroża i bagna, gdzie narodowi grozi wygłodzenie moralne.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

List barona St. Chłapowskiego.

W „Orędowniku" czytamy: „Pan baron Stanisław Chłapowski z Szółdr pod Czempiniem, członek sejmu prowincyonalnego, wydziału powiatowego i parlamentu, wystosował — w sprawie zgody — do Niemców list otwarty, o którym „Dziennik P." zapowiada, że go poda w oryginale jako dodatek.

Równocześnie wydrukował „Kuryer" list otwarty p. barona, zatytułowany: „Do mych niemieckich kolegów i przyjaciół", a noszący datę „Poznań w listopadzie".

Tytuł do takiej odezwy bierze p. St. Chłapowski z tego, że od lat 40 jest członkiem sejmu prowincyonalnego i liczy na to, że mu Niemcy koledzy nie odmówią świadectwa, iż zawsze uczciwie pracował w interesie zgody obydwóch narodowości.

Autor wykazuje niechrześcijański element w agitacyi Hakatystów, wzywa Niemców kolegów i przyjaciół, żeby ją zatamowali, inaczej zapowiada się dzielnicy naszej „smutna przyszłość, pokój nie będzie mógł być przywrócony, od czego niech nas Bóg zachowa.“

Cały list nosi na sobie wyraźną cechę, że był pisany pod naciskiem niepokoju i zwątpienia.

I to jest zupełnie naturalne. Pana St. Chłapowskiego, jak wielu innych, którzy uprawiali politykę partyi dworskiej, musi w wysokim stopniu niepokoić agitacya Hakatystów, bo ona jest żywem świadectwem, że rachunek przy tej polityce jest z gruntu fałszywy. Czują to wszyscy zwolennicy tak zwanej polityki ugodowej, że im Hakatyści rachunki popsuli, i ztąd pojawiają się w obecnej chwili te dziwne pomysły o „zgodzie narodowościowej“.

Choćby do takiej zgody nawet przyszło w najlepszym razie zyskaliby tylko zwolennicy partyi dworskiej, jak chcą inni, ugodowej, społeczeństwo polskie nie zyskałoby nic.

To przecież i po stronie partyi dworskiej powinniby przynajmniej niektórzy rozumieć, że szerokie masy ludu polskiego, jego warstwy średnie i niższe, zachowują się względem rządu, prawa i państwa tak, jak tego konstytucya wymaga. Wiedzą też o tem Niemcy bardzo dobrze i Hakatyści nie uderzają w te warstwy dla tego, że nie są dość „lojalne“, tylko dla tego, że się społecznie i narodowo podnoszą.

Na co i po co Niemcom zgoda, jeżeli ludności polskiej nie można zasymilować.

Forma walki przeciw żywiołowi polskiemu, jaka jest obecnie w modzie u Hakatystów, nie jest niczem nowem: wszystko już było; nie tak dawno jeszcze za czasów walki kulturnej. Jak się Hakatyści własnym żarem strawią — co prędzej czy później będzie musiało nastąpić, to po pewnej przerwie wystąpi ta sama stara walka i to się będzie powtarzało póty, dopóki ludność polska społecznie nie stanie tak, że Niemcy będą musieli stracić wszelką wiarę w wszelkie sposoby asymilacyjne.

I wtedy przyjdzie pora na „zgodę narodowościową“, ale — nie rychlej.“

*

Socyaliści przeciw stronnictwu ludowemu w Galicyi.

W „Przeglądzie Wszechpolskim“ czytamy:

„Jakkolwiek wybory do austryackiej rady państwa odbędą się prawdopodobnie dopiero za kilka miesięcy, dziś już zaczęła się na dobre agitacya przygotowawcza, którą najenergiczniej prowadzą stronnictwo ludowe i socyaliści. Można było przypuszczać, że pomiędzy temi dwoma stronnictwami, pomimo dzielących je różnic teoretycznych, nastąpi, chociażby ze względu na wybory w piątej kuryi, jakiś kompromis. Sądzimy, że kompromis był możliwym i bardziej byłby potrzebnym socyalistom, aniżeli stronnictwu ludowemu, które w dzisiejszym stanie rzeczy więcej bodaj mogłoby zdobyć okręgów, aniżeli ma odpowiednich kandydatów na posłów. Socyaliści jednak utrudnili bardzo kompromis, kto wie nawet, czy nie umożliwili go zupełnie prowadzoną do spółki z ks. Stojałowskim kampanią, mającą jeden cel widoczny — rozbijania wieców ludowych. Cała działalność przedwyborcza stronnictwa socyalistycznego polega głównie na walce ze stronnictwem ludowem, na wytworzeniu współzawodnictwa w okręgach wiejskich, kiedy w miastach, przedstawiających dla niej pole najwdzięczniejsze, nie wychodzi prawie poza kadry własnej organizacyi. Założono pismo specyalne dla włościan, wystawiono nawet w okręgu krakowskim, w czwartej kuryi przeciw domniemanemu kandydatowi do Rady państwa, posłowi sejmowemu Wójcikowi — innego kandydata włościanina. Tego rodzaju taktyka polegająca w gruncie rzeczy na wyrządzaniu psot współzawodnikom, tym ostatnim nie wiele zaszkodzi, a socyalistom nie da żadnych rezultatów. Przeciwnie, w tych nawet okręgach piątej kuryi, w których może udało by się im przeprowadzić swoich kandydatów, z pewnością będą pobici.

W tej polemice przedwyborczej socyaliści wygłosili hasło, które ks. Stojałowski powtórzył, że mandaty z piątej kuryi powinny przypadać kandydatom robotniczym. Jest to pretensya zgoła nieuzasadniona. Wygłaszając ją uznali socyaliści zasadę reprezentacyi interesów poszczególnych klas i grup ludności, zasadę, przeciw której słusznie protestowali nieraz. Zarzucają stronnictwu ludowemu kastowość chłopską, a sami chcieliby ją stworzyć dla klasy, której interesy pragną przedstawiać. Ale gdyby nawet przyjąć tę zasadę, to czyż istotnie robotnicza klasa w Galicyi przedstawia taką siłę, że należy się jej aż 15 mandatów? Przecież włościanie i to włościanie posiadacze rolni, w 13 przynajmniej okręgach piątej kuryi, w których może udało by się im przeprowadzić swoich kandydatów, z pewnością będą pobici. W tej polemice przedwyborczej socyaliści wygłosili hasło, które ks. Stojałowski powtórzył, że mandaty z piątej kuryi powinny przypadać kandydatom robotniczym. Jest to pretensya zgoła nieuzasadniona. Wygłaszając ją uznali socyaliści zasadę reprezentacyi interesów poszczególnych klas i grup ludności, zasadę, przeciw której nieraz słusznie protestowali. Zarzucają stronnictwu ludowemu, kastowość chłopską, a sami chcieliby ją stworzyć dla klasy, której interesy pragną przedstawiać. Ale gdyby nawet przyjąć tę zasadę, to czyż istotnie klasa robotnicza w Galicyi przedstawia taką siłę, że należy się jej aż 15 mandatów? Przecież włościanie i to włościanie posiadacze rolni, w 13 przynajmniej okręgach piątej kuryi, jeżeli nie w 15 stanowią przeważną część wyborców, daleko liczniejszą z właścicielami gruntów w miasteczkach, aniżeli robotnicy, nawet z dołą-

---

Gwiazdkowe zakupy.

(Z cyklu „Anatol“.)

(*Wieczór wigilijny, szósta. Śnieg z lekka pruszy na ulicach Wiednia.*)

Anatol. Łaskawa Pani, łaskawa pani!...

Gabryela. Co?... Ah, to pan!

Anatol. Tak to ja ścigam panią! Nie mogę patrzeć na to, byś pani szła tak obładowana! Proszę mi oddać choć część tych pakunków!

Gabryela. Nie, nie, dziękuję! Poniosę je już sama!

Anatol. Ależ pani, nie utrudniaj mi, proszę, skoro choć raz w życiu zapragnąłem okazać się uprzejmym...

Gabryela. No — to masz pan już tę jednę paczkę...

Anatol. Ależ to nic zgoła... Proszę dać więcej... ot tę... i tę jeszcze...

Gabryela. Dosyć, dosyć... bardzoś pan grzeczny!

Anatol. Skoro tylko wolno — toż to przyjemność!

Gabryela. Dajesz pan tego dowody, ale niestety tylko na ulicy i wówczas kiedy śnieg pada.

Anatol. ...i to późnym wieczorem — skoro w dodatku przypadkiem jest to w dzień wigilii Bożego narodzenia — nieprawdaż?

Gabryela. Bo też to cud prawdziwy zobaczyć pana!

Anatol. Tak, tak..... Chcesz pani przez to powiedzieć, żem tego roku ani razu nie złożył jej wizyty.

Gabryela. Tak, coś w tym rodzaju przeszło mi przez myśl!

Anatol. Ah, pani! Ja w tym roku nie składam wizyt — zgoła żadnych nie składam! A jakże zdrowie męża? Co robią milutkie dzieci?

Gabryela. Tych pytań możesz pan sobie oszczędzić! Wiem przecież, że to pana bardzo niewiele obchodzi!

Anatol. Przykro jest doprawdy natrafić na osobę, co tak dobrze zna ludzi!

Gabryela. Pana — znam dobrze!

Anatol. Nie tak dobrze jednak, jakbym tego pragnął.

Gabryela. Daj pan pokój uwagom! Dobrze?...

Anatol. O pani, tego przyrzec nie mogę!

Gabryela. Oddaj mi pan więc moje paczki!

Anatol. Nie gniewać się — nie gniewać! Już będę grzecznym....

(*Idą obok siebie w milczeniu*).

Gabryela. Mówić przecież o czemśkolwiek wolno panu.

Anatol. O czemśkolwiek — tak — ale cenzura pani tak jest srogą...

Gabryela. Opowiedz-że mi pan co. Wszakże nie widzieliśmy się tak dawno.... Co pan robi teraz właściwie?

Anatol. Nic, jak zwykle!

Gabryela. Nic?

Anatol. Nic najzupełniej!

Gabryela. Szkoda pana, doprawdy!

Anatol. Coprawda.... dla pani to rzecz arcyobojętna.

Gabryela. Jak pan możesz to twierdzić?

Anatol. Dla czego tracę na niczem życie? Kto temu winien? Kto?!

Gabryela. Oddaj pan paczki!

Anatol. Wszakżem nie oskarżał nikogo... rzuciłem pytanie ot tak, na wiatr...

Gabryela. Pan zawsze pewnie jak dawniej włóczysz się bez celu?

Anatol. Włóczysz! Takim wzgardliwym wymawiasz to pani tonem! Jak gdyby było coś piękniejszego nad tę włóczęgę! Jest coś wspaniale bezcelowego w tem słowie! Dziś wszakże nie da się ono zgoła do mnie zastosować, dziś jestem zajęty, najzupełniej tak samo jak pani!

Gabryela? Jakto?

Anatol. Ja także robię gwiazdkowe zakupy!

Gabryela. Pan?!

Anatol. Tylko nie mogę znaleźć nic stosownego! Z tego powodu od tygodnia już staję co wieczór przed wystawami sklepów po wszystkich ulicach! Ale kupcy nie mają nic gustu ani ducha wynalazczości.

Gabryela. Te powinien posiadać kupujący! Kiedy się ma tak mało do czynienia jak pan, myśli się, wynajduje — i zamawia podarki już w jesieni.

Anatol. Ah! do tego nie jestem stworzony! Alboż to wiedzieć można w jesieni kogo trzeba będzie obdarować na gwiazdkę? A teraz ot jest już zaledwie dwie godziny przed gwiazdką — a ja wciąż jeszcze ani wiem, ani wiem nawet!...

czeniem właściwych robotników wiejskich.

Jakkolwiek bliżsi jesteśmy stronnictwa ludowego, niż innych stronnictw galicyjskich, stanowisko nasze jest w danej sprawie zupełnie objektywnem. Naszem zdaniem, byłoby z wielu względów bardzo pożądanem, żeby socyaliści zdobyli kilka mandatów i dla tego właśnie dotychczasowa ich taktyka wydaje się nam, co najmniej nieodpowiednią. Zmiana jej byłaby konieczną, chociaż, kto wie, czy nie przyszłaby już zapóźno, czy jakiś kompromis, nie dawno jeszcze względnie łatwy, nie byłby już teraz niemożliwym. W każdym razie zaznaczyć należy, że jeżeli klasa robotnicza w Galicyi nie będzie miała w Radzie państwa przedstawicieli, których mieć powinna, to odpowiedzialność za to spadnie niepodzielnie na kierowników ruchu socyalistycznego."

—*ski.*

LITERATURA I SZTUKA.

Z najnowszych powieści.

(Utwory Klemensa Junoszy).

Że Klemens Junosza kreśli obrazki powieściowe prawdziwie swojskie, pełne prawdy i życia; że pisze lekko zajmująco, niekiedy barwnie, częstokroć bardzo dowcipnie a zawsze charakterystycznie, jest to prawdą znaną i uznaną, nie potrzebującą zatem udowodnienia.

Obrazki te przedstawiają nam zazwyczaj ludzi pospolitych, spotykanych codziennie, nie nastręczających sposobności do rozwinięcia głębokich spostrzeżeń psychologicznych, gdyż dusza ich prosta i jasna, bez skrytek i tajni, sama przez się przejawia się w ich słowach i sposobie postępowania. Stosunki też, w które wplątują się ci ludzie, są nam wszystkim doskonale znane, bo z najzwyklejszych wzięte objawów, objawów istnienia w naszych wioskach, miasteczkach i miastach. Chłopi, żydzi, szlachta zagonowa, ziemianie średnio-zamożni, urzędnicy, nauczyciele, kobiety z wyliczonych tu sfer; walka o byt, dorabianie się grosza lub tracenie go, poszukiwanie zarobku i próżne w tym kierunku wysiłki, bieda, smutki, cierpienia, śmierć—oto bohaterowie naszego autora i wypadki, w których oni swój umysł, serce i charakter ukazują.

Nastrój, w jakim Junosza tworzy, najczęściej jest pogodny. Zna on i odczuwa smutki i zawody ludzkie, nieraz bardzo ciężkie, lecz nie chce utwierdzać czytelników swoich w mniemaniu, iżby lekarstwa na cierpienia zgoła znaleźć nie było można, iżby położenie choćby rozpaczliwe, nie mogło już wcale doznać polepszenia, bodaj chwilowego. Tragicznych sytuacyi Junosza malować nie lubi.

W związku z takim nastrojem pozostaje unikanie namiętności silnych,ześrodkowanych, trawiących się w sobie, lub też druzgocących istnienie tych, co im w swobodnem rozwinięciu się na przeszkodzie stają. Najpotężniejsza z namiętności, miłość, bywa też u Junoszy dodatkowym jeno czynnikiem w jego powikłaniach powieściowych; na niej nie osnuwa on wątku opowiadania, nie poświęca odtworzeniu jej wiele miejsca; czasami ledwie o niej wzmiankuje.

Tak zwane postaci „charakterystyczne“ z odcieniem rubaszności i komizmu stanowią najsilniejszą stronę talentu Junoszy; w ich malowaniu jest on niewyczerpanym, a choć dopatrzyć można rodowego podobieństwa w licznej ich galeryi, to przecież w każdej z nich odnaleźć da się jakiś choćby drobny rys, wyróżniający jedną osobistość od drugiej. Żydzi, chłopi, wszelkiego rodzaju burczymuchy i oryginały roją się w obrazkach Junoszy i prawie zawsze wywołują zadowolenie estetyczne z powodu trafności i znamienności cech i umiejętnego ich uwydatnienia.

Weźmy np. opowiadanie pt. „Na bruku, powieść z życia miejskiego“ (Warszawa, nakład księgarni Stan. Sadowskiego, 1897, str. 185). Cóż w niem jest najlepszego? Przedewszystkiem nie młoda, kochająca się para, przy końcu książki w stan małżeński wstępująca. Jeszcze Mania, jako poczciwa córka, dobra przyjaciółka, dziewczyna pracą usiłująca dopomódz rodzinie, trzyma się jako tako w swej małej i biernej roli. Ale Zdzisław, jako amant i jako młodzieniec, jest tak blado nakreślony, że najmniejszej na siebie uwagi zwrócić nie może. Zubożały ojciec rodziny, Kwiatkowski, zmuszony do wyprzedania się na wsi i mozolnego poszukiwania jakiejś roboty w Warszawie, chociaż najwięcej zajmuje miejsca w powieści, swojem dolegliwem jedynie położeniem, w jakiem tyle setek ludzi się biedzi, przemówić może do serca i budzić zastanowienie nad losem nieszczęsnych jednostek.

Natomiast żydzi na Pociejowie, popędliwy i wrzawliwy węglarz, żywa jak iskra, pomysłowa i rozmowna Wandzia, wciąż zapominająca i wciąż sobie przypominająca ciocia-magazynierka, wreszcie uczeń łakomem okiem spoglądający na bułki — to są postaci, zapisujące się dobitnie w pamięci, bo odmalowane plastycznie.

Podobnie rzeczy się mają w obrazku pt. „Z papierów po nieboszczyku czwartym“ (Warszawa, nakład i własność W. Czajewskiego 1896, str. 168).

Bohater, opisujący swoje przygody, budzi zajęcie w początkach tylko, gdy mówi o swem dzieciństwie sierocem, o swej nauce u organisty, o swym stosunku do poczciwego księdza proboszcza; lecz gdy przychodzi do opowiadania o przygodzie, tworzącej właściwą osnowę, blednie, szarzeje; czytelnik bowiem dostrzega w kolizyi, na której jest oparta całość, koncept trochę naciągany.

Oto panna, społczując nudom ojca, nie mogącego złożyć partyi preferansa z powodu braku czwartej osoby, sprowadziła z War

---

G a b r y e l a. Czy mam panu dopomódz?

A n a t o l. Pani łaskawa... Jesteś aniołem — ale nie odbieraj mi znowu paczek...

G a b r y e l a. Nie, nie...

A n a t o l. Zatem aniele, wolno mi powiedzieć. Jak to ładnie — aniele!

G a b r y e l a. Czy będziesz pan łaskaw milczeć!

A n a t o l. Już milczę!

G a b r y e l a. A zatem — daj mi pan jakąś wskazówkę... Dla kogo to ma być podarek?

A n a t o l. To... to właściwie trudno powiedzieć...

G a b r y e l a. Dla jakiejś damy oczywiście?!

A n a t o l. No... tak — że pani zna dobrze ludzi, tom już raz dziś przecież zaznaczył?!

G a b r y e l a. Ale... dla jakiej damy? Rzeczywistej damy?!

A n a t o l. Musielibyśmy pierwej porozumieć się co do tego pojęcia! Jeśli pani myślisz o damie wielkiego świata, to nie dałoby się tu w zupełności zastosować to określenie...

G a b r y e l a: Zatem... z małego świata?...

A n a t o l. Dobrze — powiedzmy: z małego świata.

G a b r y e l a. Należało mi z góry to przypuścić!...

A n a t o l. Tylko bez sarkazmu!

G a b r y e l a. Wszakże znam gust pański... Będzie to znów pewno coś z po za rogatki — szczuplutkie i jasnowłose!

A n a t o l. Jasnowłose — pozwalam!...

G a b r y e l a. Tak, tak... blondynka... szczególna rzecz, że pan zawsze musisz mieć do czynienia z takiemi przedmiejskiemi damami — ale to zawsze!

A n a t o l. Łaskawa pani, nie moja w tem wina.

G a b r y e l a. Daj pan temu pokój — mój panie! Dobrze zresztą, że pan pozostajesz wiernym swemu rodzajowi... byłoby niesłusznem porzucać widownię swych tryumfów...

A n a t o l: Ale bo i cóż zresztą mam robić — kochają mnie tylko po za miastem wyłącznie...

G a b r y e l a: Ale czy pana rozumieją za miastem?

A n a t o l: Ani myśli! Ale, widzi pani... w małym świecie jestem tylko kochanym; w wielkim — tylko rozumianym — pani to wiesz przecie...

G a b r y e l a: Ja nic nie wiem... i nie chcę wiedzieć nic więcej! Choć pan... Tu właśnie jest sklep najodpowiedniejszy... tu możemy kupić coś dla pańskiej małej.

A n a t o l: Pani!

G a b r y e l a: Ależ tak... popatrz pan ot tu... naprzykład ta szkatułka z trzema różnorodnemi perfumami... albo ta z sześciu mydełkami... paczula... chypre... jockey-club — to właśnie byłoby coś właściwego — nie?

A n a t o l: Pani, pięknie to nie jest ze strony pani.

G a b r y e l a: Albo czekaj pan, tu!... Widzisz pan. Ta broszka z sześcioma fałszywemi brylantami — pomyśl pan — aż z sześcioma! Jak to migocze! Albo ta śliczniuchna bransoletka, z takiemi rajskiemi breloczkami... ach jeden jest autentyczną główką murzyna! Cudne! To przecież olbrzymi efekt musi sprawić na przedmieściu!

A n a t o l: Łaskawa pani się mylisz! Nie znasz tych dziewcząt — inne one całkiem, niż to sobie pani wyobraża...

G a b r y e l a. Albo tu... ah, jakże to urocze! Przyjdźże pan bliżej — no — i co pan mówisz na ten kapelusz?! Fason przed dwoma laty był wysoce modny! A pióra z jakim pewiewają wdziękiem — co, czy nie?! Toby kolosalne sprawiło wrażenie na Hernalsie?

A n a t o l. Pani łaskawa... o Hernalsie[1]) nie było zgoła mowy... a i w takim razie, zapewniam, że nie doceniasz pani również gustu mieszkanek Hernalsu...

G a b r y e l a. Nie... doprawdy z panem rzecz trudna; — to pomóżże mi przynajmniej — daj mi jakąkolwiek wskazówkę.

A n a t o l. W jakiż mam ją dać sposób?... Pani uśmiechniesz się z pewną wyższością — w każdym razie.

G a b r y e l a. O, nie, o nie! Naucz mnie pan tylko!... Czy jest próżną, czy skromną w wymaganiach? Wysoką czy małą? Czy ma zamiłowanie w jaskrawych kolorach?...

A n a t o l. Nie powinienem był przyjmować uprzejmej przysługi pani. Widzę, że pani drwisz tylko!

---

[1]) Dzielnica przedmiejska Wiednia, zamieszkana wyłącznie przez ludność roboczą.

przyp. tłom.

szawy filologa pod pozorem, że chce się uczyć łaciny. Panna była figlarna; na okładce Neposa nakreśliła karykaturę swego nauczyciela; lecz następnie spoważniała i uczyła się naprawdę nietylko łaciny, ale i historyi literatury. Domyślać się należy, iż miała serce dobre; tem dziwniej wygląda jej wyznanie zrobione filologowi, że przez trzy lata nauki był właściwie tylko „czwartym“ do kart. Czyżby tego zrozumieć i odczuć nie zdołała, że takiem oświadczeniem i to w dzień swego ślubu zrani serce skromnego a czułego filologa? Zdaje się, że taka panna, jaką wystawił Junosza, nie powinna popełnić tak wielkiej niedelikatności. A na tym właśnie mało prawdopodobnym postępku panny zasadza się dramat duszy poczciwego „czwartego“, dramat zresztą cichy, objawiający się stetryczeniem filologa, który w całem życiu swojem dojrzał szereg faktów, nasuwających bolesne przypuszczenie, że był tylko wiecznym zastępcą kogoś, a nie istotą samodzielną.

Jedyną charakterystyczną postacią w obrazku jest rządca, lubiący dosadne wyrażenia. Mógłby był zostać taką postacią i talmudzista Tobiasz Tupet, gdyby autor rozwinął był napomknienia, jakie o jego wiedzy i poglądach zaznaczył tylko nawiasowo.

W książce pod tyt. „Wnuczek i inne nowele i obrazki“ (Warszawa nakład i druk Emila Skiwskiego, 1896, str. 164) znajdujemy pięć drobnych utworów różnej wartości artystycznej.

Jeden pt. „Krokodyl“ ma znaczenie anegdoty, wykazującej szkodliwości przymuszania dzieci do pracy za pośrednictwem postrachu i kar nie pedagogicznie zastosowanych. Chłopak skazany przez ciocię na kilkogodzinne odgrywanie gam, wpadł w gorączkę, wyobraził sobie fortepian jako krokodyla o dwu klawiaturach zębów — i odtąd na całe życie pozostało mu nieprzyjemne wrażenie, gdy dźwięk fortepianu usłyszał.

„Marzyciel“ jest to ironiczna nazwa młodzieńca rojącego o zrobieniu grosza i karyery. Kocha niby panienkę niezamożną w nadziei, że jej wuj zapisze majątek! gdy się atoli ten wuj ożenił, młodzieniec wybiera podżyłą, ale bogatą wdowę, wyjaśniając jej w słowach bardzo wyraźnych rodzaj swego marzycielstwa. Nie wydaje mi się wyznanie to prawdopodobnem; karyerowicze umieją zazwyczaj piękną szatą słowa okrywać nędzotę swej duszy.

„Amoroso“ — to dzieje zawodu miłosnego, jakiego doznał ubogi kancelista, zakochany w córce swego pryncypała, dzieje opowiedziane w sposób napół żartobliwy.

W „Ciszy“ mamy kilka ślicznych krajobrazów wiejskich, na tle których rysuje się sympatyczna sylwetka panienki ze dworu i jej wujaszka-literata, naprożno szukającego na wsi spokoju, usposabiającego do pisania.

„Wnuczek“ to jeden z najpiękniejszych obrazków, jakie Junosza w ciągu swego dwudziestoletniego zawodu namalował. Treść jaknajprostsza: stosunek osłabionego już na siłach dziadka do malca, ledwo pełzać umiejącego, i zmiana tego stosunku wraz ze zwrostem wnuka: ale ta treść tak sympatycznie i tak harmonijnie rozwinięta została, że wywołuje największą rozkosz estetyczną.

Starość znużona już, ale jasna, pogodna poprzestająca na małem, po dokonaniu zadań życia t. j. po osadzeniu synów na gospodarstwie i wyposażeniu córek; oraz wiek dziecinny, niezaradny jeszcze, a rwący się do uciech właściwych stanowi i dobie rozwoju, z początku przystają do siebie jaknajlepiej: chłopczyna słucha uważnie słów dziadka prostych, podyktowanych uczuciem objaśniających objawy świata i uczących pieśni ładnych, początków czytania i pisania, wreszcie obowiązku w ogóle; a starzec znajduje przyjemność w widoku twarzy czerstwej, oczek ciekawie patrzących, ust uśmiechniętych. Starość i dzieciństwo dopełniają się wzajem i tworzą przecudną w zakresie sielskiego żywota harmonię.

Ale wnuczek podrasta, musi pójść do roboty, odpowiedniej wiekowi, spotyka towarzyszów zabawy i rozmowy, opuszcza więc dziadka, bo przed nim zaczyna się życie roztaczać dopiero. Starzec tęskni za gwarzeniem dziecka, jedynej ludzkiej istoty, do której swobodnie i szczerze mógł przemawiać, ale pojmuje, że inaczej być nie może i zwraca się z myślami swojemi i pragnieniami do Boga; niedługo przyjdzie mu spocząć w mogile.

A te wszystkie drobne szczegóły nakreślone są na tle cichego, spokojnego krajobrazu wioski naszej, ukochanej przez powieściopisarza, więc też z miłością odmalowanej. Czasami zdaje się, że mamy powrót sielanki zeszłowiecznej, lecz dobitne, realistycznie odtworzone wyrazy i zwroty przypominają zaraz, że mamy do czynienia z rzeczywistością, w miarę zidealizowaną. Ostatnie tylko słowa, kończące obrazek, choć w nastroju zharmonizowane z całością, mniej się wydają właściwemi pod względem formy, gdyż ich nie mógł chyba już dosłyszeć autor, obserwujący dziadka.

P. Chmielowski.

Walka z nauką.

Przykrą zadano mi pracę. Mam pisać o dwóch książeczkach drobnych wprawdzie objętością, ale tytułem szumnych. Takie książki wszakże i takie tytuły znam już dobrze. Są to naiwne zamachy na naukę, autorowie ich chcą cały gmach wiedzy dzisiejszej zburzyć, od podstaw aż do szczytu. Burzenie zresztą jest tu wyrazem zbyt silnym. Tacy pogromcy nauki taranami w nią nie biją, wydaje im się, że można ją poprostu zamachnąć. Z Kopernikiem i Galileuszem, z Keplerem i Newtonem, z Darwinem wreszcie załatwiają się bardzo łatwo. Ale ogół z zaciekawieniem przygląda się utworom takim. Jakież są autorów tych zarzuty, argumenty, dowody, pomysły? Należy ich przecież wysłuchać. Niestety, wy-

---

Gabryela. O nie, już słucham uważnie. Opowiedzże mi pan co o niej!

Anatol. Nie śmiem.

Gabryela: Odważ się pan!.. Odkąd?

Anatol. Dajmy temu pokój!

Gabryela. Obstaję przy swojem. Odkąd znasz ją pan?

Anatol. Od dłuższego już czasu.

Gabryela. Nie daj się pan w ten sposób indagować! Opowiedz mi nareszcie całą tę historyę!..

Anatol. Tu nie ma żadnej historyi!

Gabryela. Ale gdzie ją pan poznałeś, jak, kiedy i jakiego to w ogóle rodzaju jest osoba — to chciałabym wiedzieć!

Anatol. Dobrze, ale to nudne, ostrzegam panią!

Gabryela. Dla mnie to będzie zajmujące. Radabym doprawdy raz dowiedzieć się czegoś z tego świata! Jaki to świat właściwie? Toć ja go nie znam wcale.

Anatol. I nie zrozumiałabyś go pani zupełnie!

Gabryela. O, mój panie!

Anatol. Masz pani tak ryczałtową pogardę dla wszystkiego, co nie jest twoją sferą. Bardzo niesłusznie.

Gabryela. Ale jestem tak pojętna! Nie opowiadano mi nic przecież z tego świata! Jakże go mam znać?

Anatol. Macie panie jednak jakieś niejasne wyobrażenie, że wam coś tam zabierają. Cicha nieprzyjaźń.

Gabryela. Proszę; mnie nic nie odbiorą, jeśli coś tylko zatrzymać pragnę.

(Dokończenie nastąpi.)

Tylko nie poetę!...

Jednem swem spojrzeniem obróciła w niwecz moje nadzieje i ze śmiechem rzekła:

— Ja miałabym kochać poetę? — takiego dzieciństwa nie popełnię nigdy!

— Ale co uczynili poeci, że stracili szczęście u kobiet? Czyż nie potrafią oni tak kochać, jak i inni mężczyźni, a mają jeszcze tę przewagę, że w natchnionych poezyach mogą cuda miłości opiewać.

— Właśnie te poetyczne uniesienia są dla mnie okropne. One to odstraszają mnie najbardziej, gdyż nie chcę, aby i mnie spotkało to, co spotkało przyjaciółkę moją, Różę Laurier.

— A cóż spotkało pannę Różę Laurier? — zapytałem.

Dziewczyna bez serca zaczęła swą opowieść:

— Raz, gdy przyjaciółka moja, stojąc przed lustrem, ubierała się na bal, nagle pękł mały chiński wazonik i skorupki z brzękiem rozsypały się po podłodze, a na miejscu wazonu — o dziwo! — stała mała różowa istotka, nie większa od pszczółki, istotka, którą za czarnoksiężniczkę wziąć było można-

— Różo — odezwała się głosikiem, podobnym do brzęku komara — Różo, jak niektóre istoty nadziemskie w kieliszku kwiatu opierają sobie siedzibę, tak i ja umieszczę się w kwiatku, choćby z miękkiego pluszu i pachnącego jedwabiu, albo pod postacią maleńkiej figurki japońskiej, aby przebywać w buduarze twoim, w którym jest mi tak miło i przyjemnie. Już nieraz niewidziana przez ciebie śledziłam cię, gdy byłaś samą, jak i wtedy, gdy byłaś razem z kochankiem i byłam tak zachwycona, iż pragnęłam skorzystać z mocy czarodziejskiej, jaką posiadam, aby spełnić wszystkie twe życzenia.

I jakież może być pragnienie pięknej kobiety? — być jeszcze piękniejszą.

Róża Laurier, która — niestety — była rozkochaną w poecie, przypomniała sobie wszystkie poezye na cześć jej ułożone i.... zapragnęła być tak piękną, jaką ją kochanek w swych pieśniach opiewał.

— Dobrze — rzekła mała czarnoksiężniczka z uśmiechem — ubieraj się prędko. W chwili, gdy na balową salę wchodzić będziesz, spełni się twe życzenie.

To powiedziawszy, znikła.

Jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, skorupki wazonu spoiły się i stał on znowu na dawnem miejscu nad kominkiem.

Róża z gorączkową szybkością kończyła swoją toaletę, nie mogąc doczekać się chwili, kiedy, jaśniejąca pięknością, będzie mogła ukazać się na balu, wzbudzając zachwyt wszystkich obecnych.

Z sercem bijącem wkraczała do jasno oświetlonej sali, gdy w tem...., okropność! zaczęto ją sobie pokazywać palcami i stronić od niej.

Cóż się stało? Na Boga cóż się to stać mogło?...

Przerażona podbiegła do lustra i krzyknęła przeraźliwie....

Tak, rzeczywiście, stała się taką, jaką ją kochanek-poeta opiewał. Włosy nie były włosami, lecz „przędzą jedwabną w słońca promieniach“, a oczy „gwiazdami lśniącemi“. Szyja była rzeczywistą szyją łabędzią, a usta... usta — to dwa korale. Skrzydła anielskie powiewały u jej ramion, płeć była ze śniegu i alabastru...

Biedna moja Róża! Uciekła co prędzej z balu i w domu.... w domu znów jej czarnoksiężniczka wróciła dawną urodę.

Poecie, naturalnie, dała odprawę i dopiero miłość dla niej czterech inżynierów, trzech bankierów i kilku oficerów zatarła w jej pamięci to straszne rozczarowanie, jakiego doznała w swej pierwszej miłości.

Pojmujesz pan teraz, czemu się boję pokochać poetę...

* * *

I tak dała mi odkosza.

Pomimo jednak całej tej opowieści o czarnoksiężniczce, nie wierzę, aby to miało być przyczyną odrzucenia mojej miłości. Nie! — ja wiem dobrze, że odprawiła mnie z niczem dla tego tylko, iż kilka dni temu widziała na Plaza de Toros Tovera, którego wzrok palący przeniknął do jej małego serduszka i objął je płomieniem.

Ach! jak ja go nienawidzę — tego Tovera!

Catulle Mendez.

---

wody te są zawsze tego rodzaju, tak błahe i niedorzeczne, że odpierać ich wcale nie można, zatrzymywać się nad niemi ani na chwilę nie warto. Nie żądajcie więc jakiegokolwiek rozbioru, sprawozdania. Otwórzmy zresztą książki te na chybi trafi, to wystarczy zupełnie. Nazwiecie może metodę taką niesumienną i podstępną, ale lwa przecież z pazura poznać można.

Pierwsza tedy z tych książek, w zalotnej okładce, ma już tytuł odrazu wymowny: „A ona jednak się nie obraca. Napisał 44.“ Tak jest, wyraźnie — imię jego czterdzieści cztery. Widocznie pseudonim ten oznaczać ma zbawcę wiedzy, a czego on uczy, poznamy z kilku urywków: „Każde ciało żyjące, każda jego część i cząstka oddycha, tj. ściąga się i rozdyma, każde i każda ma swój cieplik wewnętrzny, który przez oddech częściowo traci i zyskuje napowrót... Ziemia żyje, ziemia oddycha; czas jednego jej oddechu wynosi 365 dni, czyli jeden rok. W czasie tym jej ciało rozszerza się i ściąga raz jeden za pomocą falowanych drgań, z których każde odbywa swą drogę w ciele i na ciele ziemi w ciągu naszych dwudziestu czterech godzin... Na biegunie ziemi pokarmowym (północnym) znajduje się otwór, a raczej wielka ilość otworów skombinowanych w jeden, w jedno zagłębienie. Biegun płciowy (południowy) ma także coś podobnego. Raz na kilka milionów lat spotyka się ziemia ze swym lubym; wtedy dzieją się na niej okropne spustoszenia: wylewy morza, trzęsienia, zapadania się gór, krzyk, pisk, wycie, lament“. Kto to jest tak rozkosznym „lubym“, szukać nie będę, ale to wiem z pewnością, że nie jest nim słońce: „Cieplik uchodzący z biegunów koncentruje się po obu stronach stożkowo w kulę... Skoncentrowanie się tego olbrzymiego ciepła w jednym ognisku wytwarza żar... i z odległości przedstawia się naszym oczom w kształcie żarzącego białem światłem krążka średniej wielkości, który nazywamy słońcem“. Wyjątki te wystarczą chyba.

Wręcz przeciwne pojęcie o słońcu ma p. Franciszek Wodecki, autor drugiej z łaskawie mi przez redakcyę nadesłanych książek, a zatytułowanej niemniej szumnie: „Księga Wszechświata i sposób jej czytania“, nietylko bowiem pozostawia naszej gwieździe dziennej byt rzeczywisty, ale darzy ją nawet życiem: „Słońce jest stworzeniem żyjącem, ze świadomością siebie samego i z celem swej działalności. Jest rodzaju męskiego, przedstawicielem siły mocy z odpowiednim stosunkiem siły mądrości, dlatego ruchy, które odbywa, pochodzą z niego samego“. A nieco dalej: „Ziemia nasza, wzięta jako ciało abstrakcyjne z pośród grona materyi nieświetlanych, hołdujących materyi świetlanej słońcu, przedstawia się jako stworzenie żyjące. Niechaj każdy z niedowierzających temu twierdzeniu zwróci uwagę na to, że w przestrzeni znajduje się tylko materya, a ta jest wynikiem usiłowań siły mądrości i w niej się przedstawia. Przeto gdzie jest materya, tam jest siła mądrości, czyli życie. Rośliny, owady, zwierzęta, ptaki i ludzie żyją. Przeto musiała je zrodzić materya żyjąca, gdyż one są jej dalszym rozwojem“. Odwróćmy kartek kilkanaście: Gdyby rzeczywiście słońce przyciągało wszystkie materye nieświetlane, krążące w koło niego a tworzące jego system, jak również, gdyby planety nawzajem pragnęły przyciągnąć słońce ku sobie, to przez tyle milionów lat, jak wszechświat egzystuje, te planety byłyby doszły do wyznaczonego przez Newtona celu. Jeżeli zaś przez tyle wieków do tego nie przyszło, to znaczy, że Newton się mylił. Tak nie jest. Słońce nie posiada siły attrakcyjnej w tem znaczeniu, jak to przedstawia ten mąż nauki... Słońce może przyciągać planety v. materye nieświetlane i przyciąga, ale siłą płciową, jako rodzaj męski oddziaływający na żeński“.

Nie sądzę, aby bzdurstwa takie rozśmieszyć kogo mogły; budzą one chyba niesmak tylko i gniew, że papier aż tak daleće cierpliwym być może. Tem bardziej, że zbyt często u nas dźwigać on musi ramoty tak nędzne. Kto choć pobieżnie obeznany jest z bibliografią polską, wie, że chwast ten rozrasta się w stosunku nadmiernym do liczby książek naukowych. Nie ma bodaj roku, w którymby nie pojawiło się kilka takich książek lub broszur. Jeżeli zapytamy o podniety, które autorów tych pchają do podobnych pomysłów i do ujawniania ich drukiem, to niewątpliwie pierwszą z nich jest absolutna nieznajomość nauki, z którą walkę podejmują. Autor „Księgi Wszechświata“ chętnie się nawet do tego przyznaje: „Dla mnie niepotrzebną jest luneta, ani teleskop. Ja każdą z tych gwiazd zbliżam sobie myślą do takiej odległości, jaka mi jest potrzebna, czy to chcąc przedstawić ją sobie wielkości księżyca, czy też słońca“. Otwartość tę pochwalić wypada autorowi, bo odsłania nam zarazem metodę jego, która jest też metodą tych wszystkich pogromców nauki. Wyobrażają sobie wszystko, jak im się podoba, jak im potrzeba, i to im wystarcza.

Nieznajomość zresztą nauki grzechem nie jest: bez astronomii być można bardzo porządnym i dobrym człowiekiem. Ale pogromca lekceważy wszystko, cokolwiek w nauce zdziałano, cokolwiek dotąd o niej napisano; pogardliwie spogląda na głupców, co z książek naukowych, z podręczników wiedzę zdobyć pragną: „Szukając rozwiązania tych niepojętych rzeczy, — czytamy znowu w „Księdze Wszechświata“ — z pomocą podręczników i dzieł z tej dziedziny, po przeczytaniu takowych umysł jego (tj. każdego uczonego) do tego stopnia został utrudzony, że nie będąc zdolnym szukania innego punktu wyjścia, zaczyna tę samą piosnkę i na tę samą nutę śpiewać, co czytane podręczniki“.

Nie do tych więc zwraca się pogromca nauki, co są z nią obeznani, co po jej dziedzinach wędrować przywykli, ale stara się stronników zdobyć śród ludzi, dla których nauka jest obca. Ze szczerą naiwnością z góry przyznaje, że kto z nauką pewną zabrał znajomość, będzie jego przeciwnikiem. Jest to znów taktyka wszystkim tym panom wspólna. Posiadam starą broszurę niemiecką, która dowodzi, że nauka Torricellego o ciśnieniu powietrza jest fałszywą, a zawiera ponętne przyrzeczenie, że kto zdoła rozumowania autora obalić, otrzyma dziesięć tysięcy talarów. Dodaje jednak ostrożny autor, że ponieważ wszyscy profesorowie i uczeni są jego przeciwnikami, on sam przeto tylko rozstrzygnąć może, czy pokonanym został.

Ta pewność, nieomylność, to osobliwe przecenianie samego siebie jest dalszą cechą podobnych autorów. Każdy z nich w głos wykrzykuje — nunc opus exegi. „Gdyby praca moja była podaną w języku francuskim, niemieckim lub angielskim, zwróciłaby wszystkich uwagę na siebie. Każdy ubiegałby się o przeczytanie i zapoznanie się z jej treścią. A że jest w języku polskim, musi czekać aż ją nowe pokolenie przetrawi“. Nie zawsze jednak pogromca nauki ma dosyć cierpliwości, by zadawalniać się apelacyą do potomności; wtedy płaci za przekład swej roboty na język francuski i przesyła ją akademii nauk w Paryżu. Ale sekretarze akademii mają wzrok tak bystry, czy też czucie tak wyrobione, że wskroś okładki treść wyczytują i od razu na zagładę ją skazują. To nie uwłacza wszakże autorowi, — toć wiadomo, że wszyscy ci akademicy to stare osły, w rutynie zagrzezłe.

Czy prócz nieuctwa i zarozumiałości inne jeszcze czynniki niezbędne są do wytworzenia reformatora, pogromcy nauki, wyjaśnić to mogą chyba psychologowie. Jeden z nich twierdzi podobno, że geniusz z obłąkaniem graniczy. Niekiedy zdaje mi się, że zdanie to pojmować zaczynam.

Oprócz psychologii autorów jest wszakże jeszcze psychologia czytelników, którym utwory takie do smaku przypadają. Imponuje im niewątpliwie najpierw osobliwa stanowczość autora, oszałamia wyniosły sposób wygłaszania twierdzeń, niedopuszczający zaprzeczenia, bawi też i paradoksalność pomysłów. W dalszym rzędzie podoba się zapewne i lekceważenie wielkich twórców nauki, odzieranie z uroku mężów, których czcić i wielbić przywykliśmy — zwykła słabostka ludzka, znajdująca zadowolenie w przypinaniu łatek bliźnim, zwłaszcza gdy na wyniosłym mieszczą się piedestale. Ale najwięcej waży tu wzgląd inny, to mianowicie, że w ogólności nie wiemy jasno, jak się nauka robi, nie znamy dróg, jakiemi ona kroczy, nie zdajemy sobie sprawy z mozołów badacza, jak z faktów starannie zbieranych snuje on prawa i jak na trwałej tej dopiero podstawie budują się hypotezy i teorye rozległy obszar zjawisk obejmujące. Wyobrażamy sobie, że pomysł szczęśliwy świta w głowie badacza i teorya odrazu staje gotowa. Wielcy uczeni przedstawiają się nam jakby autorowie aforyzmów w jednodniówkach na pogorzelców. Kopernik powiedział, że się ziemia obraca, Newton odgadł, że słońce przyciąga, a Darwin krzyknął, że człowiek od małpy pochodzi. Skoro zaś tak jest, to również łatwo wygłosić i zdanie wręcz przeciwne, aforyzm za aforyzm. Ziemia wcale się nie obraca, słońce nikogo nie pociąga, ani człowiek od małpy nie pochodzi, bo inaczej dawnoby już małp nie było w lasach afrykańskich. Nie — panowie — tak tanio nauka się nie robi i tak tanio nie wywraca się, ani nie odwraca.

Czytałem w starym życiorysie Ezopa, że nie masz nic równie nudnego, jak o głupstwach poważnie pisać. Mnie to dziś przypadło i za to czytelników przepraszam. Niech

mnie jednak usprawiedliwi to, że książki takie zbyt często piśmiennictwo nasze naukowe zachwaszczają; dlatego może uwagi te zupełnie zbyteczne nie będą. *S. K.*

Nowy dramat Maeterlincka.

Ojciec i najwybitniejszy zarazem przedstawiciel kierunku symbolistycznego w literaturze, Maurycy Maeterlinck, stworzył w ostatnich czasach nowe dzieło, które świadczy o znakomitym rozwoju tego nieposledniego talentu. Jest to dramat p. t. „Aglavaine i Sélysette“, a treścią jego: walka dwóch kobiet o jednego mężczyznę. Temat ani nowy, ani nadzwyczajny — ale sposób przeprowadzenia jest zarówno nowy, jak niezwykły, tak dalece, że trudno w całej dotychczasowej literaturze znaleść dzieło do tego zbliżone. Treść jest następująca:

Meleander, wraz z żoną swą Sélysette pędzą spokojny i prawdopodobnie szczęśliwy żywot w starem zamczysku, w nieznanej okolicy. Przy nich spędza resztki wcale nie szczęśliwego życia staruszka babka, Meligrane, otaczana czułą opieką Sélysetty i jej młodziutkiej siostry Yssaliny. Wtem nadchodzi zapowiedź odwiedzin, które wszystkich wprawiają w jakiś niepokój. Ma przybyć Aglavaine, wdowa po bracie Sélysetty, z zamiarem stałego osiedlenia się w zamku Meleandra. Jest to piękność demoniczna, posiada jednak duszę dobrą i szlachetną. O zamiarach, z jakiemi przybywa do zamku, pisze w liście zapowiadającym jej odwiedziny. Zna ona Meleandra tylko z przypadkowego spotkania przed laty podczas jej wesela, kocha Sélysettę, jak własną siostrę i pragnie tylko tego, aby wszyscy razem ze sobą żyli, o ile możności jak najszczęśliwiej.

Ale Sélysette przeczuwa kobiecym instynktem, pomimo wszystkich słodkich zwrotów w liście, grożące jej niebezpieczeństwo. „Czy ona jest piękna?“ — Oto jej pierwsze pytanie. A Meleander poczyna w odpowiedzi na to rozpływać się w pochwałach nad pięknością Aglavainy, na co odpowiada Sélysette prosto: „Ja wiem, że nie jestem piękna“. Nadaremnie stara się Meleander wytłomaczyć jej to. „Kochaj ją tylko, jeżeli ją kochasz. Ja odejdę!“ Wtem blask pochodni z podwórza zapowiada, że Aglavaine już przybyła — i na tem kończy się akt pierwszy.

Drugi akt — w ośm dni później — daje nam już obraz płomiennej miłości Meleandra i Aglavainy w całej pełni. Oboje są czyści, jak dzieci, a uczucie ich jest tak głębokie, że wzrusza czytelnika. Mistrzowski dyalog poety odkrywa nam tu najtajniejsze głębie dwojga naiwnie, a jednak gorąco kochających się serc. Wyznawszy sobie wzajemnie swą tajemnicę, widzą przed sobą jedyną zaporę ich miłości, Sélysette. Aglavaine szuka wyjścia w miłości braterskiej i siostrzanej, ale sama czuje, że słaba to i krucha podpora.

Meleander nie odpowiada nic na to zaofiarowanie mu miłości siostrzanej. Oboje widzą przed sobą walkę i tęsknotę, te nieodłączne skutki każdego nieprawidłowego stosunku dwojga serc. Pozostaje im tylko walczyć i cierpieć; ale czy to wytrzymają i jak długo?

Byłoby jeszcze inne wyjście — rozłączyć się na zawsze, ale na to brak im obojgu siły. Pogrzebać coś tak pięknego, co dopiero powstało, wyrzec się tego na wieki — wydaje się im niemożebnością. Nie ma dla nich nic innego, jak tylko łzy i cichy uścisk, ale i w tem przerywa im okrzyk rozpaczy Sélysetty, która przyszła tu w ślad za nimi. Sélysette, zdradziwszy się okrzykiem, ucieka do zamku, Meleander udaje się za nią, aby ją uspokoić — Aglavaine opiera się o drzewo, a z piersi jej wyrywają się przytłumione łkania.

Sélysette słyszała część rozmowy Meleandra z Aglavainą, a szczególnie utkwiło w jej pamięci i pali ją w głębi duszy jedno zdanie: „Sélysette, mała Sélysette nie powinna płakać!“ Widzi, że ci oboje w szczęściu swej wzajemnej miłości odczuwają dla niej litość, a to dla kochającej kobiety jest czemś gorszem nawet, aniżeli nienawiść. Przechadzając się zamotnie, szarpana rozpaczą i najsprzeczniejszemi uczuciami, napotyka nagle Aglavainę, pogrążoną w śnie na ławce kamiennej nad brzegami sadzawki. Jakżeż łatwo mogłaby ją strącić i pozbyć się na zawsze rywalki! Zbliżyła się do uśpionej, podnosi okrywającą jej twarz zasłonę i przygląda się jej piękności. Wzruszona budzi Aglavainę, wskazuje jej grożące niebezpieczeństwo — i tu rozwija się między obiema kobietami dyalog, który stanowi prześliczną perłę całego dzieła. Ażeby dać wyobrażenie o piękności tego miejsca trzebaby poprostu przepisać tu całe ustępy, które brzmią, jak ciche westchnienia, pełne muzyki, na których dnie spoczywają wzruszenia największego ludzkiego bólu. Powiadają sobie wszystko — Aglavaine chce zwrócić Meleandra Sélyzecie, a sama oddalić się — ale Sélyzette, uniesiona szlachetnością, nie zgadza się na to. Rozchodzą się jak dwie siostry, mówiąc sobie, że ta wzajemna spowiedź je pocieszyła i wzmocniła, że w tej chwili szczerości i zgody były szczęśliwe. Ale cóż to wszystko pomoże — one są dwie, a Meleander jest tylko jeden.

W akcie trzecim jesteśmy świadkami walki tych trzech szlachetnych dusz. Z nadzwyczajną delikatnością ukrywają wszyscy troje wzajemnie przed sobą swe głębokie rany, starają się wmówić w siebie, że ich wszystkich wiąże jakaś jedna idealna miłość, prawią sobie psychologiczne niemożliwości, aby tylko zataić swój prawdziwy stan wewnętrzny. Ustawicznie przytem cierpią, a cierpienie to wzrasta z każdą chwilą. Robią sobie wzajemnie koncesye, ale czynią to tylko z wspaniałomyślności, która nie jest tu na miejscu i obraża więcej, aniżeli otwarte i energiczne postępowanie. Przytem mają wszyscy, a szczególnie obie kobiety chwile szczególnych szkopułów i wątpliwości, kto z nich tę lub ową osobę więcej kocha, chcą w swej szlachetności prześcigać się wzajemnie w dobroci i tylko coraz bardziej wikłają się w labiryncie swego uczucia.

W istocie wszyscy troje kochają się i zgadzają w tem, że nie mogą być szczęśliwymi, bo zawsze trzeci jest temu na przeszkodzie. Wszyscy troje nie mogą się w tej miłości zjednoczyć, a do rozłąki brak im sił i zdolności. W mistrzowsko nakreślonej psychologii dusz leży punkt ciężkości tego aktu, który wprawdzie akcyi nie posuwa naprzód, ale wybornie maluje nam miłość, ból i tęsknotę tych trojga udręczonych serc.

W duszy Sélysetty wylęga się tymczasem powoli myśl usunięcia się z drogi, ale w inny sposób, aniżeli te zamierzała uczynić Aglavaine. Sélysette ma w pobliżu zamku pewne ulubione miejsce. Jest to stara, dziś już opuszczona, a nad brzegiem morskim samotnie stojąca latarnia morska. Tam przepędza ona wiele chwil, pogrążona w dumaniu, bądź w towarzystwie młodszej swej siostry Yssaliny, bądź też sama. Posiada ona klucz od wieży, sterczącej wysoko ponad szumiące u jej stóp fale morskie, a służącej już dziś tylko jako mieszkanie wesołej rzeszy ptactwa morskiego i dzikich gołębi.

Sélysette wybiera się po raz ostatni odwiedzić wieżę, przedtem jednak żegna się z babką, mówiąc jej, że idzie na dłuższą przechadzkę, aniżeli zazwyczaj z swą siostrą Yssaliną. W drodze spotyka Meleandra, z którym rozmawia pół seryo, pół żartem — a w następnej scenie widzimy ją na szczycie wieży. Ale tutaj, na wspomnienie babki, która (naturalnie nic nie przeczuwając) nie pożegnała jej tak, jakby ona tego pragnęła — opuszcza ją odwaga i Sélysette wraca do domu. Żegna się tedy ponownie z babką i po raz wtóry wyrusza w drogę do latarni. Jak przedtem Meleander, tak teraz spotyka ją w drodze Aglavaine. Sélysette umie przed nią ukryć tak swe myśli i zamiary, że Aglavaine niczego nie podejrzywała i rozstają się w najlepszej zgodzie i przyjaźni. Ostatnia scena czwartego aktu rozgrywa się znowu za szczycie wieży.

Dyalog Sélysetty i Yssaliny jest w stylu czysto metterlinckowskim — pełny przeczuć zbliżającej się katastrofy. Scena, w której Sélysette pozbywa się zręcznie siostry i rzuca się na dół ze szczytu wieży — nakreślona jest po mistrzowsku, piórem wielkiego i znakomitego poety.

Ale biedna, zrezygnowana Sélysette nie wpadła w toń morską. Znaleziono ją u stóp wieży na wydmie piaszczystej. Na ciele jej nie ma żadnej rany, tylko z ust sączy się krew. Yssalina, którą zastano w wieży, zalewającą się łzami i przerażoną, opowiada, że Sélysetta spadła z wieży, gdy przechyliła się za mur, chcąc schwycić jakiegoś wielkiego, zielonego ptaka, który właśnie obok przelatywał.

Wypadek ten wstrząsa do głębi Aglavainę i Meleandra. Oboje czują, że Sélysette chciała z siebie uczynić ofiarę na ołtarzu ich szczęścia. Pierwsza wpada na tę myśl Aglavaine, a później dopiero Meleander. Oboje chcą o tem nabrać pewności i w tym celu udają się do łoża biednej Selysetty. Ale Selysette z całą dyalektyką, na jaką może się zdobyć czułe serce kobiece, zbija przypuszczenia zamachu samobójczego, o którym zresztą wszyscy są przekonani. Nawet umierając, zapewnia, że śmierć jej jest wynikiem przypadku, nieostrożności, przechyliła się na brzeg muru i spadła w przepaść.

Ale zarówno Aglavaine, jak Meleander wierzą, że ona poświęciła się dla ich szczęścia. — Czy to szczęście wogóle jest możliwe dla takich charakterów, jak tych dwoje — to pytanie, na które już autor nie daje odpowiedzi, pozostawiając ją zupełnie czytelnikowi.

Taki jest pobieżny szkic dramatu, w którym Maeterlinck przedstawia się nam nietylko jako wielki poeta, ale także jako wielki psycholog i znawca serca ludzkiego. Charakterystyka postaci dramatu jest tak doskonałą, jak to dotychczas jeszcze w żadnej z prac Maeterlincka nie bywało. Szczególnie piękne są obie postacie kochających kobiet, wobec których nawet bohater Meleander ustępuje na drugi plan, a jakkolwiek obie są tak bardzo poetyczne, to jednak równocześnie są na wskroś ludzkie. Kontrast ich stanowią: staruszka babka, osoba jakby już z innego świata, Meligrane i mała, prawie dziecko jeszcze, siostrzyczka biednej Selysetty, Yssallina. Oba kontrasty uchwycone są po mistrzowsku, oba owiane tchnieniem prawdziwej, miejscami wzniosłej poezyi.

Jakkolwiek cały dramat jest — podobnie do wszystkich dzieł Maeterlincka — symbolistyczny, to jednak wszystko w nim jest jasne i zrozumiałe, z wyjątkiem jedynego drobniejszego szczegółu, mianowicie zielonego ptaka, o którym wspomina Yssaline. Domyślności czytelników pozostawione jest tu szerokie pole. Być może, ów

ptak ma wyobrażać nam owe prawdziwe, dla człowieka niemożebne do osiągnięcia szczęście, za którem goniąc, wszyscy prędzej czy później, spotykamy na swej drodze śmierć *J. W.*

Z estrady i sceny.

(Walka motyli. Komedya w 4 aktach p. H. Sudermanna.)

Słuchając w ubiegłą sobotę „Walki motyli“ doznawałem bezustannie wrażenia, że ludzie na scenie mówią jakimś cudzym językiem, i często w myśli szukałem oryginału niemieckiego, przekładając sobie polskie tłomaczenie na język Sudermannowski, aby zrozumieć koloryt stylowy i gdzieniegdzie nawet znaczenie wyrazów. Tłomaczenie „Walki motyli“ nie odskakuje z natury rzeczy tak daleko od pierwowzoru jak przekład Honoru z jego żargonem suteryn, lecz i tu niepodobna było tłomaczowi skopiować w polskiej mowie tej typowej barwy berlińskiej, którą posiada język Sudermanna. I jak niegdyś w ocenie „Honoru“ wyraziłem obawę, że rodzina Heneków znajdzie mało właściwych przedstawicieli na polskich scenach, tak dziś, gdy po trzyletniem czekaniu mam wreszcie sposobność mówić o „Walce motyli“, to samo w przybliżeniu powtórzyć mogę o rodzinie Hergentheimów i Winkelmanów.

Sudermann, który dotychczas w dramatach Almy i Addy odsłonił nam naiwne zepsucie najniższych warstw berlińskiego społeczeństwa i rafinowaną rozpustę klasy miljonerów giełdowych, sięgnął w swym czwartym z rzędu utworze scenicznym do warstw „drobnomieszczańskich“ i odsłoniwszy „ropiejące rany“, podał w wątpliwość zdrowie tych żywiołów społecznych, które przeciętna opinia publiczna z ofiar ogólnej zgnilizny wyłącza, wierząc, że „der Mittelstand“ jeszcze nie grzęźnie w trzęsawiskach lepkich.

Bohaterkami sztuki są cztery kobiety: wdowa po wyższym urzędniku sądowym wraz z trzema córkami. Ojciec umarł i nie zostawił nic prócz skromnej pensyjki i wspomnień dawnej świetności. Rozpoczyna się życie nędzy tajonej, chleb z margaryną imitującą masło, wodnita kawa w porcelanowych filiżankach, głód spoczywający na pluszowych meblach. Wszystko w tym domu jest kłamstwem. Polip nędzy wyciąga ssawki potworne, a stara matka, która najsilniej czuje ich dotknięcie, chciałaby córkom własnego losu oszczędzić. Więc mówi im, że Bogiem ubogiej dziewczyny jest mąż bogaty i od dzieciństwa tresuje córki do umiejętnej pogoni za milionowem małżeństwem. Wyjść za mąż i jeździć karetą, to jedyna etyka tej rodziny. Głodzić się w domu, lecz błyszczeć tualetą na „balu jurystów“, wieść życie czcze i rozpustne, lecz kokietować mężczyzn udaną pracowitością i dumą niedostępną — to kodeks moralny w domu Hergentheimów. Najstarsza córka, Elżbieta, raz już zdobyła cel utęskniony, ale mąż stracił wszystko i życie sobie odebrał. Więc jako młoda wdówka rozpoczyna po raz drugi polowanie swoje, a ponieważ krew kipi i „wdowie więcej niż pannie uchodzi“, zatem szuka miłości w objęciach wesołego komiwojażera, a obrączki ślubnej w przywiązaniu poczciwego niedołęgi, Maksa Winkelmanna.

Siostra jej, Laura, bardzo ładna, bardzo głupia i nęcąca ród męzki flegmatyczną obojętnością, wierzy z fatalizmem Turczynki w gwiazdę swoją, którą wyobraża sobie w postaci oblubieńca składającego u nóg jej hrabiowską koronę i brylanty drogie; trzecia tylko z dorodnych panien Hergentheim, szesnastoletnia Rózia, wyrasta w tym domu fałszu, obłudy i grzechu, jak kwiat na bagnisku. Tresura matki nie wykrzywiła jeszcze tej duszy prostej i szczerej, a w nieco egzaltowanych i na dramatyczną nutę nastrojonych pojęciach znać świetnie podpatrzony wpływ tak zwanych „Leihbibliothek- und Colporteurromane“. Ta trójka „motyli“ jest prawdziwem arcydziełem charakterystyki, a około nich grupuje się cała galerya postaci żywych i wypukłych. Stara Hergentheimowa nie budzi odrazy. Spaczyła wychowanie córek, lecz wszystko co czyni, to czyni z wielkiej miłości. Po swojemu pojmuje szczęście i ku temu szczęściu dzieci swe prowadzi. Na błędy jej patrzy się raczej z litością niż wstrętem.

Jest w dramacie Sudermanna jeszcze drugie środowisko: kantor Winkelmanna. Środowisko to posiada dwie figury rysowane bardzo subtelnie i bardzo dokładnie, a mianowicie typ komiwojażera, znany dotychczas prawie wyłącznie z karykatury „Witzblatów“, wstąpił tu po raz pierwszy na scenę, żywcem wykradziony z bruku berlińskiego. Dyalogi tego pół-cynika i pół Donżuana z starym egoistą, chciwcem i terykiem Winkelmannem są potężne swą prawdą, misterne swem wykończeniem i porywające humorem swoim.

A przecież mimo portretowych znamion każdej postaci Sudermannowskiej komedyi, „milieu“, jako takie, nie posiada dość intenzywnych kolorów. Tej siły, która łączy żywe figury w żywe środowisko, nie zdobył autor „Honoru“ w tym stopniu jak Ibsen. Wielki skandynawczyk umie z przedziwnym talentem malować tło i roztaczać atmosferę właściwą, — u Sudermanna żyją ludzie dramatu, ale scena często pozostaje głuchą i zgaszoną. I dla tego „Walka motyli“, mimo pierwszorzędnych zalet charakterystyki, żyje tylko w połowie, a połowiczność ta tem dotkliwiej uczuć się daje, że wielki mistrz fabuły i denerwującej intrygi zdradza w sobotniej premierze cechy pewnego omdlenia. Akcya rozwija się żywo, ale wyczerpana fantazya buduje rusztowanie sceniczne nieco jednostajnie, bez tych świeżych, oryginalnych pomysłów, któremi olśniewało „Gniazdo rodzinne“ i „Koniec Sodomy“.

Mimo tych usterek obniżających artystyczną wartość utworu, zajmuje „Walka motyli“ w dziedzinie sztuki niemieckiej niepośledniе miejsce. Humor tej komedyi nie płynie z zręcznych konfliktów sytuacyjnych i przylepionych dowcipów, z dziwacznych karykatur i hałaśliwych niespodzianek, lecz z głębi prawdziwych charakterów, rzuconych na tło prawdziwych stosunków. Oblicze sztuki nie wykrzywia się grymasem błaznów cyrkowych, lecz w uśmiechu podaje nam wielką powagę życia. Krok jeszcze, nieco głębszych dusz, nieco złośliwej gry przypadku, a komedya stanie się dramatem.

Ogólne wykonanie sztuki na scenie poznańskiej pozbawione było wszechstronniejszej interpretacyi charakterów i cech lokalnego realizmu czyli niemieckości typów. Nawet p. Ryger, mimo właściwej talentowi swemu inteligencyi i intuicyi artystycznej, nie wchłonął w siebie całej duszy Winkelmanna. Były w grze tego artysty momenty znakomite, ale tu i tam błąkał się jakiś ułamek, coś niedopowiedzianego i spętanego. Winkelmann Rygera był oschły, kwaśny i brutalny w egoizmie swoim, lecz nie dość silnie akcentował chciwość i kramarski cynizm tej postaci. Pan Karpowicz w roli Kesslera zrozumiał dobrze intencye autora. Lowelas, hulaka, efront — wszystkiego tam było po trochu, tylko może za mało berlińskim, za mało czelnym, za mało szerokim był ten komiwojażer p. Karpowicza. W ogóle jednak uważam tę kreacyę za szczęśliwą, nie pozbawioną życia i humoru. Gra p. Tarasiewicza w roli zafukanego niedołęgi Maksa miała dużo szczerości i prawdy, a p. Stróżewski odtworzył postać aptekarczyka, kradnącego dla pięknych kuzynek perfumy i cukierki, z bezpretensyonalnym humorem. Pan Czerniak natomiast epizodyczną rolę bakałarza w niewłaściwym odegrał tonie. „Fade und korrekt“ — takim powinien być kawaler Laury.

Z ról kobiecych prym trzymała niewątpliwie panna Wajdowska. Każdy jej ruch, i każde jej słowo, wyraz twarzy i gra oczu złożyły świetną charakterystykę flegmatycznej, obliczającej, rozkochanej w własnych wdziękach i głupiej kokietki. Gra panny Tańskiej miała dużo finezyi i prawdy, szkoda tylko, że utalentowana artystka nie posiada tych efektownych wdzięków, które prawie niezbędne są dla roli Elżbiety. Braki te należałoby uzupełnić odpowiednią tualetą, ale tualeta panny Tańskiej przypominała niestety przyzwoitą nauczycielkę z przyzwoitego domu, zamiast charakteryzować rozbawioną wdówkę berlińską, goniącą za bogatym mężem i zatrącającą nieco półświatkiem. Wdzięczna rola Rózi spoczywała w rękach panny Ogińskiej, a przyznaję chętnie, że co najlepszego talent artystki tej posiada, to zaprezentowała widzom w sobotniej premierze. Cenię staranność, cenię dokładne opracowanie roli, — mimo to jednak Rózia panny Ogińskiej była tylko połową Rózi Sudermanna. Naiwność jej trąciła lekką afektacyą i jakiemś „chcę być naiwną“, a pamiętać zawsze należy, że ideałem sztuki pozostaje zdanie Ottona Ludwiga: „Tiefste Absicht und scheinbar vollständige Absichtslosigkeit“.

Na zakończenie podnoszę z uznaniem grę pani Królikowskiej w roli starej Hergentheimowej, chociaż zataić nie mogę, że i tu za mało Niemka przemówiła do mnie.

W. R.

TO I OWO.

Krakowski „Arizona Kicker“.

Przez pewien czas obiegały prasę europejską rzekome cytaty z amerykańskiego pisma „Arizona Kicker“, parodjujące bezceremonialność, czepianie się osób i grubiaństwo prowincyonalnej prasy amerykańskiej. Parodye te budziły wszędzie ogromną wesołość groteskowym swoim tonem. Otóż wychodząc widocznie z zasady, że „śmiech jest dobry — śmiech jest zdrowy“, krakowscy jezuici postanowili wprowadzić w życie, co dotychczas było fantazyą, i „Arizona Kickera“, który był tylko wytworem dobrego humoru jakiegoś satyryka, wydawać na prawdę w Krakowie, zmieniwszy jedynie tytuł jego na niemniej humorystyczny: „Grzmot“. Posłuchajmy, co o „Grzmocie“ pisze organ tak konserwatywny jak „Kraj“: „Dawniej — czytamy — prym niewątpliwy w „energii słowa“ trzymał socyalistyczny „Naprzód“, aliści teraz, z przeniesieniem się do Krakowa na ulicę Zwierzyniecką antysocyalistycznego „Grzmotu“, zyskał on szczęśliwszego konkurenta w stylu. Wyznajemy szczerze, iż nie spodziewaliśmy się spotkać w piśmie, kierowanem przez ludzi poważnych, epitetów w rodzaju: „wściekły, podły, bezczelny“, kiedy o przeciwnikach mowa, albo też określeń podobnych, jak: „bydło — bydłem“, lub „trzoda nieproszona“. Rzecz to wątpliwa, aby język tego gatunku mógł się przyczynić do przekonania i uspokojenia „błądzących i wzburzonych“, z którymi walka jest przecież celem „Grzmotu“.

Na Wyłomie.

(Krytyk nad krytykami.)

Nie jestem Herodem i nie lubię mordować dzieci, ale jeżeli takie pacholęta wchodzą na trybunę dziennikarską i żółtemi dzióbkami ferują wyroki o literaturze i sztuce, jeżeli redaktorzy poznańscy lubują się wćwierkaniu niewypierzonych piskląt i pozwalają im konsekwentnie przez lata całe pleść duby smolone o najpoważniejszych zagadnieniach artyzmu, to publicysta sumienny ma obowiązek moralny powołać do porządku nie tyle rozzuchwalonych niedorostków, ile tych, którzy im w naszej biednej prowincyi powierzyli straż piękna i dobrego smaku.

Jest w „Kuryerze Poznańskim" recenzent teatralny, podpisujący artykuły swoje pierwszą sylabą imienia i pierwszą literą nazwiska. Któż nie zna tego panicza, którego karyera literacka przypomina znane słowo Wilhelma II o redaktorach i cechu dziennikarzy, — któż nie przypomina sobie, że „Kraj" petersburski, przytaczając w dziale humorystyki wyjątki z recenzyi „małego Włodzia", załączył ironiczny komentarz: „Czy to fryzyer pisał, czy fotograf?" A przecież „Kraj" to blizki kuzyn „Kuryera" i przypuścić nie można, by przez wrodzoną złośliwość wziął się do rózgi na krewniaka swego. Mimo to literacki chłopczyk wciąż jeszcze trzaska biczykiem w „poważnym" dzienniku, — mówi o Ibsenie i Sudermannie, o dekadentach i symbolistach, o Zoli i Bourgecie, — no! a od czasu do czasu grzmi na „libertynów" poznańskich.

Gdybym kiedyś zabrał się do napisania podręcznika logiki dla młodzieży szkolnej i zbierał typowe przykłady fałszywych wniosków i błędnych argumentacyi, to krytyki teatralne „Kuryera" byłyby dla mnie niewyczerpaną skarbnicą. Ot! chwytam pierwszy lepszy artykuł n. p. wielką ocenę Sudermannowskiej „Walki motyli" i czytam na wstępie z przerażeniem, że wszystkie dramaty autora „Honoru" są typem potwornych „Ehebruchskomodien", bo lubo cudzołóstwa w rzeczywistem tego słowa znaczeniu tu i owdzie trudno się doszukać, to jednak „proste pożądanie wzrokiem jest już dokonanem cudzołóstwem." O! biedny recenzencie, uderz się w piersi, — ileż ty razy zgrzeszyłeś! Weź włosienicę i posyp głowę popiołem!

Ochłonąwszy nieco z przestrachu o duszę własną i duszę Kuryerową, zagłębiam się znowu w milowy traktat o „dokonanym" i „usiłowanym" zamachu na szóste przykazanie, przedzieram się przez gąszcze tysiącznych dziwolągów logicznych i wreszcie stoję wyczerpany przed sfinksowem obliczem takiej apokalipsy. Słuchajcie! Mały Włodzio mówi: „Autor interpretuje z cynizmem źródłosłów charakterystycznego miana „backfisch" na podstawie płciowych popędów, ukazując nam trio cór mieszczańskich, będących dzięki fałszywemu wychowaniu na najlepszej drodze do histeryi". Co to jest? Źródłosłów „backfischa" i płciowe popędy? Histerya w „Walce motyli"? Gdzie? co? jak? Lampa zrodziła kota, a szczur makolągwę. Rozum mój stanął, — odetchnę!

Po ocenie sztuki, następuje ocena artystów. Stary Winkelmann został „ekslowlasem" (!), a „pasowanie się (!) z swoim temperamentem umożliwiło panu R y g e r o w i popis (!) na wskroś oryginalną kreacyę". Absurd za absurdem, nonsens za nonsensem, a na końcu wielka rakieta. Oto chłopczyk z Kuryera podnosi rączkę, i tak nam, „libertynom", wygraża: „Publiczność sztukę przyjmowała bardzo chłodno; świadczy to, że nie jesteśmy jeszcze tak zblazowani, jakby to w nas wmówić chcieli zbankrutowani apostołowie libertyńskich idei, miotający co szabas klątwy na Beocyę poznańską."

Co? Kręci wam się w głowie? Mnie także, czytelnicy moi. Bo jeżeli skarżę się na Poznań, że przypomina Beocyę, ten kraj bardzo prymitywnej kultury, to niemogę równocześnie „wmawiać" w społeczeństwo, że duszę ma zblazowaną, albowiem taka dusza wyrasta tylko na gruncie hyperkultury. Coś tu skrzypi. Albo logika, albo styl i poczucie języka.

Wybacz chrześcijański kolego, że ja żyd mizerny, święcący „szabas" starego testamentu, nie chylę czoła przed mądrością twoją, ale przekonałem się, że płomienie twego rozumu i dowcipu nie świecą, nawet tak jasno jak szabasówka żydowska. Nieszczęśliwi, którzy dużo czytają, z mało pojmują, nieszczęśliwi z których pożyczanej erudycyi wygląda zawsze brak elementarnego wykształcenia! Zanim zaczniesz innych uczyć, młody przyjacielu, naucz się sam abecadła estetyki i logiki, — zanim zaczniesz pisać o „przeczuleniach, histeryach, zblazowaniach i źródłosłowach" zajrzyj do pierwszej lepszej encyklopedyi i przekonaj się o znaczeniu wyrazów.

Dziś może gniewać się będziesz, że dokonałem tak niemiłosiernej analizy twoich recenzyi, kiedyś jednak wdzięcznym będziesz starszemu koledze za te rózgi, któremi sam duch św. dziateczki bić każe. Zresztą nie jesteś osamotniony, nie odbijasz na tle tej bezsiły umysłowej, która panoszy się w dziennikarstwie poznańskiem, i stoisz ślepy między ślepymi. Ty i krytyk „Pracy" to zaiste „par nobile fratrum". Ty imputujesz Sudermannowi, że w „popędach płciowych" szuka „źródłosłowu" wyrazu „backfisch", tamten ogłasza światu, że „Popychadło", ten poczciwy, swojski melodramat Szutkiewicza, powstał „pod wpływem śledziennika Ibsena." Głupstwo obok głupstwa, głupstwo na tle głupstwa, głupstwo i na okół głupstwo.

Wstyd mnie ogarnia, że cały feljeton dzisiejszy poświęciłem naszym literackim idyotyzmom, lecz występują one codziennie z tak zuchwałą pretensyonalnością, że nie mogłem się oprzeć pokusie zaprezentowania ich w całej nagości. Daleki jestem od intencyi dokuczania komukolwiek, zmęczony trzyletnim czyszczeniem roli poznańskiej z chwastu i zielska, spragniony ciszy i odpoczynku, lecz „zbankrutowany libertyn" kocha zanadto tę ziemię, która go wykarmiła, by dla towarzyskich względów i miłego spokoju zgodzić się na inwazyę i królestwo bezsensu. Społeczeństwo poznańskie pozostanie zawsze barbarzyńcą w dziedzinie sztuki i piękna, dopóki z literackiej katedry dzienników naszych przemawiać będzie nieuctwo i blaga.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

„D z i e j e S z l ą s k a". Zasłużona księgarnia bytomskiego „Katolika" przystąpiła do wydawnictwa „Dziejów Szląska", opracowanych przez znanego historyka Dr. Konecznego. Książka ta wyjdzie w dziesięciu zeszytach, objętości 40 stronic, po 30 fen. Całe dzieło kosztować będzie zatem tylko 3 marki.

O ile z pierwszego zeszytu, nadesłanego redakcyi naszej, wnioskować wolno, to wydawnictwo „Katolika" posiadać będzie niepoślednią wartość naukową i artystyczną. Treść obfita, wykład jasny i piękne ryciny — oto zalety pierwszego zeszytu.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wieczór Mickiewiczowski.

Listopadowa uroczystość nasza, urządzona, jak zwykle, w teatrze poznańskim, staraniem zasłużonego Towarzystwa „Stella", miała pod względem artystycznym urok niezwykły z powodu udziału pani Mierzwińskiej, która pierwsze swoje t o u r n é e koncertowe rozpoczęła czynem filantropijnym. Pani Mierzwińska, żona słynnego tenora, rozporządza ślicznym, znakomicie ułożonym głosem mezzo-sopranowym, a lubo siły wielkiej nie posiada, to świetnem frazowaniem, łatwością emisyi, czystością w nizkich i wysokich tonach, serdecznem ciepłem i l a s t n o t l e a s t — ujmującą powierzchownością porywa słuchaczy.

Na wstępie wieczoru odegrali artyści poznańscy prolog ad hoc napisany przez redaktora „Wielkopolanina" p. W a l e r e g o Ł e b i ń s k i e g o. Autor w dramatycznej formie przedstawił doniosłość kolonii feryjnych dla dzieci miejskich Pariasów i tem samem scharakteryzował cel, któremu Tow. „Stella" w najświeższym czasie wszystkie swoje siły poświeca i któremu też ofiarowano dochód z Mickiewiczowskiego obchodu. Humanitarna tendencya i entuzyazm dla sprawy, bijące z gorących słów i żywych obrazów prologu, wywarły korzystne wrażenie na licznie zgromadzonej publiczności, która autora wywołała na scenę. Umiejętną deklamacyą odznaczala się panna T a ń s k a i p. A u d r a n.

Z innych numerów programu zasługuje na szczególną wzmiankę silna deklamacya „Żalów Gustawa" wykonana przez p. R y g e r a, oraz występ dobrze ułożonych chórów „Koła Śpiewackiego" i kapeli Sokolskiej.

— **Teatr i muzyka.** Dziś, w sobotę, ukaże się na scenie poznańskiej głośny dramat Giaconettiego p. t. „Śmierć cywilna". Sztuka ta zawdzięcza swój rozgłos głównie temu, że artyści wielkiego stylu, jak R o s s i i S a l v i n i, zaliczali ją do stałego repertuaru swego. Jest to utwór pełen dramatycznych efektów i wstrząsających momentów psychologicznych, które nastręczają aktorom znakomita sposobność do wykazania siły i techniki artystycznej. Główne role spoczywają w rękach p. R y g e r a i p. A u d r a n. — Nagrodę Szyllera otrzymał w Berlinie p. E. Wildenbruch za dramat swój „Król Henryk". Większa połowa sędziów oświadczyła się za nagrodą dla Hanusi G. Hauptmana, lecz cesarz Wilhelm rozstrzygnął na korzyść Wildenbrucha. Wyrok ten spowodował ustąpienie z jury Ericha Schmidta znanego profesora berlińskiego uniwersytetu. — Nowa sztuka ludowa Maksa Kratzera p. t „Der Lockvogel", która miała być przedstawiona w Berlinie, wzbronioną została przez policyę; również wzbroniono przedstawienia w teatrze Lessinga francuskiej komedyi Maurycego Donnay p. t. „Podzielona miłość". — „Chata za wsią" grana jest obecnie w Kiszyniewie przez trupę mało-ruską pod dyr. Saksagańskiego. Przed kilku laty w Petersburgu, z biblioteki goszczącej tam wówczas trupy polskiej wypożyczył egzemplarz „Chaty za wsią" p. Starycki, dyrektor trupy mało ruskiej, w celu przetłomaczenia sztuki. Odtąd „Chata za wsią" p. t. „Cyganka Aza" znajduje się stale na repertuarze scen małoruskich, szkoda tylko, że na afiszach niema wzmianki nietylko o Galasiewiczu i Mellerowej, ale nawet o I. J. Kraszewskim. Tytuł brzmi dosłownie: „Cyganka Aza" dramat ze śpiewami i tańcami z małoruskiego i cygańskiego życia w 5 aktach, przez Staryckiego; muzyka Dobrikowa.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **J. B. M.** Rzecz jest w biegu. Sprawę uregulujemy niebawem.

— **Fiołek.** Za wiele reminiscencyi z Heinego. Druga i trzecia zwrotka jest prawie dosłownym przekładem.

— **A. N.** O ile nam wiadomo, w rzeczy samej redakcya „Dziennika Pozn." krząta się około zbierania składek na portret ś. p. Fr. Dobrowolskiego, aby go zawiesić w biurze redakcyi. Bliższych szczegółów nie znamy. Radzimy jednak udać się wprost do obecnego redaktora „Dziennika".

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej Nr. 28 (Telefon Nr. 334.)